

NIE PŁACZ, MAMO c.d.

3. Nawroty strachu i nadziei

– Nareszcie mam coś ciekawego! – z tym radosnym okrzykiem wpadł do naszego domu sąsiad zza drogi, Gawliński.

Parę razy ogarnął wzrokiem kuchnię, jakby chciał się upewnić, czy w ten grudniowy wieczór, w bladym świetle naftowej lampy nikogo obcego nie ujrzy za stołem. Siedzieliśmy przy kolacji, gdy on stanąwszy w drzwiach, przestępując z nogi na nogę, urywał zaczęte słowa nie wiedząc, w jakim porządku rzecz wyłożyć.

– Do nas się przysiądźcie, kumie, odsapnijcie trochę i mówcie po kolei – rzekł ojciec i podstawił sąsiadowi taboret.

Nie za bardzo szło mu po kolei. Zdania układał chaotycznie, chwilami ściszał głos, żeby przypadkiem nie wy dostał się poza ściany i do niepowołanych uszu nie doleciał. Stopniowo jednak wszystko się wyklarowało, nabrało jakiejś takiej jasności. Otóż dowiadujemy się od Gawlińskiego, że wraca z odwiedzin u swego brata ożenionego z Ukrainką w Kołmowie, wiosce graniczącej od wschodu z naszą osadą. Tenże brat, człowiek młody i rzutki, nie usiedzi w chałupie, jak my tutaj, jeno ciągiem robi wypadki do znajomych i przyjaciół w okolicy. Od polskich kolonistów z niedalekiej Janówki przyniósł, ujawnioną mu w zaufaniu, wieść frapującą. Ponoć całkowicie pewną, bo w samym Lwowie zasłyszaną. I to nie u byle kogo na ulicy, lecz w domu poważnego człowieka, jakiegoś pana pro-

fesora, który dobrze wie, co mówi. A mówił to, co od paru już tygodni podaje francuskie radio. Że w Paryżu jest polski rząd. Że na czele rządu stoi generał Sikorski. Że pod jego rozkazami na ziemi francuskiej tworzy się polska armia. Że garną się do niej nasi żołnierze i oficerowie, którzy przez Rumunię, Węgry, Jugosławię i dalej przez Morze Śródziemne docierają do Francji. Więc jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze ma kto walczyć o Polskę. Francuzi i Anglicy ani myślą o zaprzestaniu wojny z Niemcami. Na wiosnę szykują wielkie uderzenie na Hitlera...

Wielu innych szczegółów nie byłem w stanie uchwycić i spamiętać, choć pilnie nadstawiałem uszy. To mi w zupełności wystarczyło. Przynajmniej na ten jeden wieczór i prawie bezsennej noc. Bo jak tu usnąć po takich wieściach.

Apetyt, powiadają, rośnie w miarę jedzenia. Zdawało się, że zostaliśmy nasyceni informacjami sąsiada, tymczasem już w następnym dniu i w dniach najbliższych zaczął nam wszystkim doskwierać głód nowych doniesień, które by potwierdziły relacje Gawlińskiego. Gdzie zasięgnąć języka? Do kogo się udać po całkiem pewne wiadomości? Beresteczko i do niedawna powiatowy Horochów były za daleko. Podejmowane przez naszego ojca i niektórych sąsiadów dyskretne próby znalezienia w bliższej okolicy wiarygodnego informatora nie przyniosły rezultatu. Nawet kierownik szkoły, pan Popek, okazał zupełną bezradność. Owszem, też coś słyszał, różne krzą-

pogłoski, ale ile jest w nich prawdy – gwarantować nie może. Tak samo, jak inni, został uziemiony na wsi, pozbawiony kontaktów ze światem. Definitywnie odpadła możliwość wykorzystania, jako źródła wiadomości, naszego słuchawkowego radia. Jeśli ktoś jeszcze w okolicy dysponował takim aparatem, też nie miał z niego pożytku. Radio musiało być zasilane z akumulatora, a ten po wyczerpaniu nie dawał się więcej ładować, bo zabrakło źródła energii elektrycznej. Stanęła prądnica w beresteckim młynie wodnym, którego właściciel zamknął interes czy to z powodu zamarznętej rzeki, czy może też z innych przyczyn. Zresztą jeśli by nawet dało się uchwycić przez radio głos Paryża lub Londynu, to któż tutaj pojmie cokolwiek po francusku czy angielsku?

Rozpolitykowanej części osadników pozostawało nicowanie na wszystkie strony tego, co każdemu z osobna naopowiadał Gawliński i co nie omieszkął po swojemu skomentować. Większej częstotliwości nabrały sąsiedzkie, wieczorne schadzki i gorące dysputy prowadzone też nocną porą przy zasłoniętych oknach i przerywane, gdy pies na podwórku głośniej zaszczekał. Rychło przypominano sobie, kto zacz ów generał Sikorski, który ma przewodzić teraz rządowi i wojsku polskiemu we Francji. Byłm legionistom galicyjskim nazwisko to skojarzyło się z różnymi wydarzeniami sprzed i z czasów pierwszej wojny światowej. Powoli w odświeżanej pamięci jawił się ten ówczesny działacz niepodległościowy i młody oficer, jako ważna figura wojskowa, organizator „Strzelca” i dowódca formacji legionowych, jako

człowiek o własnym zdaniu, który nie szedł ślepo za komendantem Piłsudskim. Sąsiad Pazik, kombatan wojny dwudziestego roku, przypisywał Sikorskiemu – dowódcy armii na północnej flance – rozstrzygający atak i odrzucenie wojsk bolszewickich spod Warszawy. Raz po raz powracał w dysputach zamach majowy Piłsudskiego z 1926 roku. Przy tym temacie witosowcy z Galicji, do których należał także nasz ojciec, zgodnie orzekali – wbrew opinii paru zagorzałych piłsudczyków – że Sikorski, to jednak uczciwy generał i polityk, bo nie podniósł ręki na chłopskiego premiera, nie pomagał Marszałkowi obalać i mieszać z błotem legalnych, konstytucyjnych władz odrodzonej Polski. Temperatura wieczornych spotkań była odbiciem zmiennych nastrojów panujących w naszej osadzie. Dawały się te nastroje porównywać do rozbulgotanej i falującej wody w rzeczce Lipie, kiedy latem wjeżdżaliśmy do niej na końskich grzbietach, by zażywać wspólnej kąpieli. Jednoczesne wtargnięcie gromady chłopaków i tabunu koni do wąskiego, kilkumetrowej szerokości koryta rzeczki wzburzało wodę, która pienila się i wylewała na brzeg, a po chwili rozhuśtane fale zaczynały opadać, maleć i ginąć w uspokojonym, powolnym nurcie. Teraz z nastrojami było podobnie. Poruszyła nas wszystkich przyniesiona wiadomość o Sikorskim, jego rządzie i polskim wojsku we Francji. Raptownie podniosła się fala nadziei i otuchy.

Słuchałem, jak w rozmowach z sąsiadami ojciec przypominał bieg wydarzeń podczas wojny poprzedniej. Tak samo wtedy na ziemi francuskiej powstawała polska armia. Zaciągali się do

niej Polacy rozproszeni po świecie, również tacy, jak ojca starszy brat, którego galicyjska bieda, jeszcze przed rokiem czternastym wyгнаła do Francji w poszukiwaniu zarobku w kopalniach węgla. Przywiódł tę armię do Polski generał Haller. Jemu się udało. Więc dlaczego ma się nie udać generałowi Sikorskiemu? Trzeba być dobrej myśli. I dobra myśl zawładnęła osadnikami. Ale tylko na krótki czas.

Inny rodzaj dochodzących sygnałów spowodował niebawem opadnięcie fali optymizmu. Powiało strachem. Otóż ktoś doniósł, jakie to straszne rzeczy rozповіда Wasyl, młody Rusin z Kołmowa. Bardzo dobrze znaliśmy Wasylę. Cieszył się złą sławą pierwszego zawadiaki w całej okolicy. Zabawy lub przyjęcia weselne w pobliskich wsiach zamieniał w rozróby i mordobicie często zakończone poważnym okaleczeniem tych, którzy jemu, Wasylowi, ośmielali się stawać na drodze. Głośny był jego wyczyn w ubiegłym roku na zabawie w kolonii Janówka. Jednemu z tamtejszych gospodarzy tak mocno pogruchotał kości wyrwanym z płota kółkiem, że aż lwowski szpital musiał ratować życie ofiary. Sprawca poszedł do więzienia, skąd wydostał się w dniach wrześniowej zawieruchy wojennej. Teraz nie ukrywa swoich grózb, że za więzienie u Lachów srodze na nich się zemści. Wszystkie ich gospodarstwa puści z dymem i jeszcze zrobi im coś więcej.

Dodatkowego strachu napędziły pogłoski, które dotarły do nas ze wsi Dzikowiny położonej w odległości paru kilometrów na południe od starej Łobaczówki, za pasem chłopskich i folwarcznych lasów. Wieś to ukraińska,

sami tam zasobni gospodarze na włościach kilkunohektarowych i nawet większych. Prawdopodobnie też mają być „rozkułaczeni”. Tak samo, jak polscy osadnicy. Jednak zatrwożyło ich nie to, że zostaną zdegradowani do kategorii średniaków z prawem posiadania po pięć czy sześć hektarów ziemi. Wywiedzieli się od kogoś, że kołchozy i sowchozy tutaj przyjść muszą. Nie może być inaczej, jak w całym Związku Sowieckim. I co gorsze, nie każdego przyjmą do kołchozu. Dla zamożnych gospodarzy, czyli kułaków, miejsca w kołchozie nie będzie. Najpierw ich „rozkułaczą”, później resztę pozostawionej ziemi także odbiorą. A gdzie podzięją się jej byli właściciele? Co z nimi się stanie?

Zdarzyło się ojcu spotkać przed sklepem „Kooperatywy” w Łobaczówce znajomego, a nawet zaprzyjaźnionego gospodarza z Dzikowin – Aleksiejczuka. Zaproszony do naszego domu usiadł do poczęstunku, rozgadał się i potwierdził, że i w jego wsi krążą niepokojące pogłoski. Jedni biorą je poważnie, są pełni obaw, popadają w rozterkę, czują się zagrożeni. Drugich strach nie oblatuje. Poniektórzy byliby nawet gotowi, dla świętego spokoju, jak najszybciej przekazać część swoich gruntów biedakom z sąsiednich wsi, jeżeli aż takiej ofiary wymaga sprawiedliwość społeczna. On sam spokojnie poczeka, co przyniesie jutro i czas najbliższy. Nie myśli siebie i kogoś zatrawać domysłami. Bo daremne jest zgadywanie i prorokowanie, kiedy Bóg tylko raczy wiedzieć...

Komu jak komu, ale mieszkańcom naszej osady nie odpowiadało bierne czekanie i zdawanie się na łaskę bożą.

Ledwie zapadł wieczór, zjawilo się u nas paru sąsiadów. Pośród różnych głosów padły i takie propozycje:

– Trzeba dochodzić, ile jest prawdy w tych pogłoskach przynoszonych z Kołmowa i Dzikowin.

– Kowala Borysa przepytąć warto, przewodniczącym w sielsowiecie go zrobili, to wiedzieć musi o wszystkim.

– Niech z Borysem jeden z nas pogada, tylko kto?

Uradzono, że na rozmowę z władzą wiejską uda się nasz ojciec. Zdanie sąsiadów było jednoznaczne: ten, kto wójtował tyle lat, miał dużo do czynienia z Rusinami i potrafił się z nimi dogadywać, niechaj i teraz spróbuje czegoś się dowiedzieć.

Wizyta złożona następnego dnia przewodniczącemu rady wiejskiej wypadła ojcu dosyć pomyślnie. Wrócił zadowolony i miał co relacjonować zebranym w naszym domu sąsiadom. Podzielił się najpierw ogólnymi wrażeniami. Najważniejsze wrażenie to takie, że kowalowi woda sodowa do głowy nie uderzyła. Dotychczas solidnie wykonywał powierzaną mu w kuźni robotę i dzisiaj widać jego solidność w sprawowaniu władzy na obszarze kilku wsi połączonych administracyjnie w jedną gromadę. Ma dobrą orientację w sprawach podległego mu terenu. Zna nastroje wśród ludzi, ich zmartwienia i obawy. Wiedział wcześniej o tym, co wygaduje zabijaka Wasyl z Kołmowa. Już go upomniął i komu trzeba nakazał mieć na niego baczenie. A co do „rozkułaczenia”, to nie tak jest, jak ludzie mówią. Borys wyraźnie powiedział: „Po mojemu w naszej okolicy kułaków nie było i nie ma”. Wyjaśnił, dlaczego osadnikom zmniejszono działki. Bo tak

będzie sprawiedliwiej. A gospodarze w Dzikowinach wcale nie muszą trząść ze strachu portkami. Oni siedzą na swoim, darowizny od państwa polskiego nie dostali. Jeżeli będą, jak do tej pory, obywać się bez wyzyskiwanej służby i stałych parobków, to żadna krzywda ich nie spotka. Kołchozy? Za wcześniej o tym mówić. Nie widzi się Borysowi gadanie o kołchozach, gdy mało takich, co by już chcieli gospodarować zespołowo, zaś dużo takich, co się panicznie boją kolektywizacji...

– A o nas powiedział coś jeszcze? – przerwał ojcową relację rozgorączkowany jak zwykle góral Polczyk.

– No właśnie! Pyskujecie czasem na całe gardło, to i nie tak trudno komuś usłyszeć i jemu donieść. Borys rzekł mi te słowa: „Dobrze wiemy, co piszczy w trawie u was, osadników, a także u kolonistów w Janówce i Batorówce. Tylko swojej Polski wyglądacie, ale radzę wybić to sobie z głowy. Fantazjować każdemu wolno, byle by przeciwko władzy radiańskiej okoniem nikt nie stawał”.

Do późnej nocy ciągnęły się w naszym mieszkaniu deliberacje sąsiadów. Zawierzyć Borysowi i nie przejmować się groźbami Wasyla? Bać się, czy nie bać kołchozów? A w ogóle, to komu w tych czasach dawać wiarę, z czym słowem się liczyć, kogo i co lekceważyć?

Zebrani sąsiedzi niejednokrotnie odpowiedzieli na te pytania. Kiedy większość uznała, że zabijaka z Kołmowa próbuje tylko straszyć, to powstał problem, jak przekonać o tym kobiety. Nie tylko przerażała je groźba podpalenia, utraty domów i całego dobytku. Jeszcze większa trwoga ogarnia-

ła matki na myśl o swoich dzieciach, o zagrożeniu życia najbliższych. Zapadło więc postanowienie: żeby gospodyniom przynieść choć trochę ulgi, wprowadzone zostaną nocne czuwania. Wszak strzeżonego Pan Bóg strzeże. Czuwanie polegać będzie na tym, że na każdą noc dwóch gospodarzy według kolejności ma obejmować wartę i przemierzać osadę z jednego końca na drugi. W razie niebezpieczeństwa wartownicy wyrwą wszystkich ze snu biciem w żelazne drągi i grube blachy podwieszane w zabudowaniach osady. Łatwiejsza wówczas stać się może obrona i ratunek.

Tak oto, gdzieś od połowy grudnia,

dwuosobowe warty regularnie wyruszały z wieczora na nocny obchód. Matki z dziećmi mogły spać spokojniej. Zaś dla nas, podrostków, zorganizowane czuwanie stanowiło zupełnie nową frajdę.

W towarzystwie swoich Reksów, Burków, Brytanów dołączaliśmy do wartowniczej dwójki dorosłych, aby brodzić w śnieżnych zaspach na drodze, świdrować wzrokiem ciemną dal, czuć się w roli zwiadowców wypatrujących chytrego, podstępnego wroga, który w niecnym zamiarach podkrada się do naszych w śnie pograżonych zagród.